№ 20 WARSZAWA, 17 MAJA 1925 R. ROK XII.

SIEW

ORGAN ZWIĄZKU MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ

„TRZEBA Z ŻYWYMI NAPRZÓD IŚĆ — PO ŻYCIE SIĘGAĆ NOWE. “

Z. Ł.

TYGODNIK OŚWIATOWY, SPOŁECZNY I ROLNICZY — ILUSTROWANY.

ADRES: WARSZAWA, UL. TAMKA Nr. 1. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3510.

Przedpłata kwartalnie wynosi 2 złote. Numer pojedyńczy 20 groszy.

Co raduje, a co smuci w naszej ogranizacji?

Związek Młodzieży Wiejskiej w rozwoju swym doszedł do takiego stanu, który może radować, ale może także i smucić. Jaki jest stan Związku, że aż do takich wniosków trzeba dochodzić?

Zacznijmy od pierwszego: a więc dlaczego można się radować? Radować się nietylko można, ale radość sama rozpiera piersi, gdy się patrzy jak z dnia na dzień przybywa coraz więcej i więcej Kół, jak ilościowo organizacja nasza rozszerza się i potężnieje. Dzisiaj bowiem *Związek zrzesza przeszło tysiąc Kół Młodzieży Wiejskiej*. Komuż to nie zaimponuje, kogóż to nie rozraduje? Chyba nawet i przeciwnicy naszego poglądu na pracę oświatową i kulturalną cieszyć się muszą z takiego stanu rzeczy, jeżeli są naprawdę szczerymi oświatowcami i pracownikami na niwie społecznej.

A więc tysiąc Kół! A Kół tych z dnia na dzień coraz więcej i więcej. I tak naprzykład: sprawozdanie za r. 1923 wykazuje, że na dzień 1 stycznia 1924 r. było 807 Kół. Przez pierwsze zimowe i wiosenne miesiące 1924 r. powstało 164 nowych Kół. W okresie miesięcy letnich nastąpiła przerwa, aż dopiero w m. listopadzie powstało 19 Kół, w grudniu 23 Koła, czyli razem w ciągu 1924 r. powstało 206 Kół, a na dzień 1 stycznia 1925 r. ogólna ilość Kół dosięgała liczby 1013. Jak te Koła się tworzą? Czy może ktoś jeździ od wsi do wsi, zwołuje zebrania i organizuje Koła? Gdyby od tego tylko zależało istnienie organizacji naszej, to dzisiaj, po sześciu latach istnienia Związku wszystka młodzież byłaby już zorganizowana. Wystarczyłoby uruchomić tylko kilku żywych i energicznych organizatorów, aby wędrowali od wsi do wsi, a wszędzie, gdzieby tylko dotarli, napewno Koło Młodzieży zorganizowaćby zdołali.

Ale taki rozrost organizacji aniby cieszył, ani smucił, gdyż wszystkie te Koła tak długoby istniały, jak długo były przez organizatora tworzone. Byłaby to organizacja niewynikająca z wewnętrznej potrzeby młodzieży, ale narzucona, a zatem sztuczna, a więc nieistniejąca.

Tymczasem istniejące dzisiaj Koła powstały z wewnętrznej potrzeby zorganizowanych, powstały samorzutnie, powstały ze zrozumienia zasady samopomocy wzajemnej i wspólnego działania w imię wspólnych ideałów.

I to raduje! A cóż smuci?

Smuci łamanie się młodych dusz, rozbudzonych i rozpalonych do wspólnego działania. Samorzutnie organizujące się gromady młodzieży bardzo często załamują się same w sobie. Organizują się najpierw z poczucia własnej krzywdy i upośledzenia duchowego. Organizują się w imię walki i pracy o skrawek światła i wiedzy. Wspólnym wysiłkiem pragną zdobyć choćby tylko jeden wyższy stopień człowieczeństwa. Czują jednocześnie w swych piersiach szał pragnień wyższych, piękniejszych i szlachetniejszych, szał pragnień zrodzony w podświadomym rozwoju ducha wszechludzkiego. A tymczasem cóż się okazuje?

Stają młodzi w zwartej gromadzie, poglądają sobie wzajemnie w oczy roziskrzone ogniami pragnień i ciskają sobie nieme pytania:

— Pragniemy? Czego pragniemy? Co i jak mamy robić, ażeby tęsknoty swoje przyoblec w szatę rzeczywistości, w szatę istnienia?

— W ramionach siły mamy dość! Chcecie? Naprężymy muskuły, stalową ich mocą chwycimy za rogi choćby samego lucyfera, króla ciemności piekielnych, i zadławimy, unicestwimy go, ale jak mamy dokonać wewnętrznego odrodzenia swych dusz, jak mamy wyćwiczyć swe myśli,

uczucia i wolę, jak mamy zaostrzyć swój wzrok wyobraźni, jak mamy dosięgać świtów jasnych zórz?

I to jest smutne, niekiedy z tragizmem graniczące!

Tysiąc Kół. Tysiąc Kół rozrzuconych po ziemiach byłej Kongresówki i Kresów Wschodnich. Tysiąc gromad młodych z rozpalonemi w duszach pragnieniami i tęsknotami. Tysiąc gromad czekających odpowiedzi na rzucone pytania. Kto im odpowie? Kto im da odpowiedź wyraźną, jasną, zrozumiałą, odpowiedź z tego, a nie z tamtego świata idącą?

Łatwo, jakżeż łatwo odpowiedzieć kłamstwem, choćby pozornie pięknem i niewinnem, ale kłamstwem. Wszystko jedno czy wypowiedzianem tysiącem słów, czy też jednem słowem z kilku liter się składającem:

P-r-a-c-u-j-c-i-e!

Pracujcie! Jakżeż piękne słowo. Jak ładnie brzmi w ustach. Można go jeszcze upiększyć, dodając do niego choćby urywek z „Ody do młodości". Można deklamować i własnemi słowami się upajać i odurzać jak woniami kadzideł. Tak, można! Może nawet potrzeba, ale cóż dalej?

J. N.

Co nam daje sport i jak go wprowadzić na wieś?

Po co uprawiać sport? To pytanie chyba każdy z nas słyszał, bo sport zanadto się rozpowszechnił dziś na świecie w różnej postaci. Jakże wiele słyszy się na to odpowiedzi i jak różnorodnych, zależy, kto je daje i z jakiego punktu widzenia patrzy na celowość sportu. A więc naprzykład: polityk -patrjota będzie mówił, że sport podnosi tężyznę duchową i fizyczną narodu — zatem uprawiać go trzeba; ekonomista — człowiek praktyczny, powie, że sport daje wyrobienie fizyczne, podnosząc tem sprawność pracy jednostki; mól książkowy, lub inny pracownik umysłowy znajduje w sporcie odpoczynek od pracy mózgu, rozprostowanie skurczonych od ciągłego siedzenia kości i t. d., i t. d.

Każdy coś od sportu otrzymuje, lub czegoś się od niego spodziewa i stąd płynie rozpowszechnienie go we wszystkich bez wyjątku warstwach społecznych u kulturalnych i cywilizowanych narodów świata. W artykule niniejszym chciałbym się zastanowić, co daje i co dać może sport nam młodzieży wiejskiej, nieprzeciążonej pracą umysłową. Nam sport daje wykończenie i obrobienie tego z natury dosyć sztywnego i niezgrabnego ustroju, jaki stanowi nasze ciało, przerobienie ociężałego, niesharmonizowanego w swoich ruchach układu kończyn na sprężystą, posłuszną każdemu skinieniu woli organizację, w której każdy mięsień jest opanowany i siła jego może być w każdej chwili zużytkowana w zależnym od nas celu. I nietylko fizyczny nasz ustrój organizuje i wychowuje sport; niemniejszy wpływ ma on na nasze wartości moralne. Ileż to razy na przykładach stwierdzono, że człowiek niepewny siebie, zalękniony, nigdy niemogący się na nic zdecydować odrazu, po dłuższej pracy w jakiejś dziedzinie sportu nabiera cech wręcz przeciwnych, staje się rzutki, szybko się we wszystkiem orjentuje i zyskuje pewność siebie, tak jakby za sprężystością mięśni szła u niego i sprężystość władz psychicznych (duchowych). I jeżeli zastanowimy się głębiej nad poszczególnemi sportami, możemy odrazu wywnioskować nietylko, jakie mięśnie który z nich rozwija, ale i jakie cechy charakteru kształci. A więc naprzykład sporty drużynowe, jak gry ruchome, w których każda jednostka musi współdziałać z innemi i przez odpowiednią kombinację może ułatwić sobie i innym grę, lub utrudnić ją przeciwnikom, wyrabiają szybkość orjentacji, a w dziedzinie sprawności fizycznej zwrotność i szybkie opanowanie mięśni wolą. Boks wyrabia w człowieku oprócz siły fizycznej szybkość ruchów rąk i nóg, oraz wprawy i celności oka, odwagę osobistą, wytrzymałość na ból, a także uczy poznawać „po minie" przeciwnika, co on zamierza uczynić, słowem zmusza do poznawania zamierzeń przeciwnika. Ćwiczenie długich biegów prócz doskonałego wyrobienia płuc i wzmocnienia serca, daje wytrwałość zarówno na zmęczenie ciała, jak i na nudę ogarniającą nieraz człowieka przy jednostajnych i **długotrwałych** ćwiczeniach, czyli kształci cierpliwość i wolę. Tak przechodząc każdą gałąź sportu po kolei, możnaby tomy napisać, rozpatrując dodatnie cechy, jakiemi obdarza nas sport i tem się tłumaczy ta ogromna pogoda wewnętrzna i zadowolenie z siebie, jakie cechuje prawie wszystkich sportowców.

Zastanówmy się nieco nad tem, czego możemy się spodziewać od sportu dla siebie; chciałbym dać praktyczny obraz, jak winna wyglądać praca sportowa na wsi, aby dała pożądane rezultaty. Oczywiście organizacje sportowe łatwiej powstają tam, gdzie już istnieją inne zrzeszenia, które prowadzą pracę społeczną choćby na innem polu, gdyż takie zrzeszenia służą im za wzór i dają oparcie. Pod tym względem praca sportowa młodzieży ma ułatwienie tam, gdzie istnieją Koła Młodzieży Wiejskiej i najłatwiej prowadzić tę pracę w **sekcjach sportowych Kół**, dlatego też obowiązkiem każdego Koła jest taką sekcję utworzyć. Nie jest to wcale rzeczą trudną ani uciążliwą. Wystarczy wybrać kierownika sekcji, któryby prowadził w niej pracę sportową i dodać mu do pomocy kogoś, kto zająłby się administracyjną stroną tej pracy, to znaczy prowadziłby książkę sekcji, porozumiewałby się z zarządem Koła w sprawach pieniężnych i zarządzałby własnoś-

cią sekcji sportowej. Taki podział pracy ludzi kierujących sekcją jest konieczny dla jej sprawności.

Zeszyt sekcji sportowej powinien zawierać spis wszystkich członków, z których każdy ma swoją stronicę, na której u góry są wypisane dane dotyczące jego osoby, a więc: imię i nazwisko, wiek, wzrost, waga, objętość klatki piersiowej przy wdechu i wydechu; dalej powinny następować uwagi dotyczące jego pracy sportotowej i jej wyników, a więc: co trenuje (ćwiczy), jak często, zaznaczyć dłuższe przerwy w pracy sportowej i ich przyczyny, w jakich zawodach i kiedy brał udział i z jakim wynikiem oraz wszelkie zmiany w jego stanie zdrowia i w jego pracy sportowej. Oprócz tego winny tam być zapisane wszystkie ważniejsze wypadki dotyczące sekcji sportowej, jak zawody itp. Książka taka jest potrzebna nietylko dla lepszego porządku w sekcji i dla kontroli wewnętrznej, ale jest bardzo ważnym materjałem dla instruktrów, którzy zestawiwszy pracę poszczególnych członków z wynikami w zawodach, będą mogli udzielić sportowcom wskazówek do samodzielnej pracy sportowej.

Praca kierownika administracyjnego jest łatwa i niezbyt uciążliwa, bo dane o członkach można spisywać dosyć rzadko n. p. raz na miesiąc podczas sezonu, a raz na dwa miesiące poza sezonem i nie są one bardzo szczegółowe.

Żeby uformować sekcję, nie potrzeba też wcale specjalnych warunków zewnętrznych, ani zbyt wielu ludzi. Nieraz gdy rozmawia się o tem z członkami Koła, to mówią: „niema u nas miejsca na boiska ani na bieżnię", albo „mamy zbyt mało ludzi chętnych", lub też „niema kto poprowadzić". To wszystko nie są argumenty. Rodzaj uprawianego sportu można tymczasem obrać w zależności od warunków, a co do ilości członków, jeżeli jest paru chętnych, to wystarczy — większa ilość zachęci się, gdy zobaczy wyniki pracy pierwszych; wreszcie poprowadzić sekcję może każdy, kto gdziekolwiek ze sportem się zetknął, najlepiej koledzy, którzy służyli w wojsku, zresztą „ nie święci garnki lepią". Najprostsze ćwiczenia, jak n. p. biegi dłuższe, może poprowadzić każdy.

Gdy tylko sekcja powstanie, należy się zwrócić do Centrali Z. M. W. po wskazówki z wymienieniem braków sekcji, a ta nie odmówi swej pomocy. Kończąc, wzywam Was, Koleżanki i Koledzy: zakładajcie sekcje sportowe przy Kołach Młodzieży!

Leon Lutyk.



WIOSNA.

F. CHROSTOWSKI.

Z wiosną.

Wiosna skrzydłami młodości
Raz wraz o ziemię uderza...
Nowe wychyla się życie
Z pod zimowego pancerza.

Z uśmiechem jasnym sasanki
Witają Boży ten dzionek,
Radośnie piosnkę zanucił
Hen na błękitach skowronek.

I ja poczułem, jak w duszy
Zbudził się wicher tęsknoty,
Jako śnić zaczął o czynach
Młodości mej Anioł złoty.

Gdy ziemia w słońcu oddycha,
O iluż, iluż to ludzi
Żyje żywotem umarłych!
Gdy życie w słońcu się budzi...

Juljusz Słowacki.

III.

Wkrótce potem podczas pobytu w klasztorze Betchenban powstaje nowe dzieło: „Anhelli". W tym poemacie, pisanym wspaniałą prozą, przypominającą stylem Pismo Święte, daje Słowacki fantastyczny obraz Polski współczesnej. Akcja tego utworu odbywa się na Syberji, tak drogiej sercom polskim przez męczeństwo licznych wygnańców za sprawę narodową. Dzieje tych wygnańców mają przedstawiać Polskę popowstaniową, a zwłaszcza wychodźtwo, przebywające wówczas przedewszystkiem we Francji, a żyjące w ciągłej niezgodzie, partyjnych swarach i nędzy.

Bohaterem utworu jest Anhelli, wybrany przez poetę na „ofiarę serca". Jego rolą będzie zobaczyć wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostać samemu w ciemności wielkiej z „brzemieniem myśli i tęsknot na sercu".

Wędruje Anhelli po ziemi sybirskiej i po kopalniach sybirskich i widzi cały ogrom cierpień ludzkich. Anhelli chce uciec, lecz napróżno duch jego wychodzi z ciała i kieruje się do ojczyzny na południe — musi on zostać jeszcze w udręczonem ciele aż do końca. Anhelli zostaje sam i w długą noc północną umiera, nie wiedząc, co przyniesie przyszłość jego narodowi. Dopiero po jego śmierci zjawia się zbrojny rycerz, zwiastujący chwilę zmartwychwstania. Anhelli za życia nie mógł się go doczekać, ponieważ przeznaczony był na „ofiarę serca", na oczekiwanie beznadziejne i trwożne tak jak całe pokolenie współczesne. I jak dopiero po śmierci Anhellego zjawił się rycerz, tak podobnie po śmierci Słowackiego przyszła chwila wyzwolenia narodu.

Poeta, tworząc postać Anhellego, miał zarazem siebie samego na myśli, przypisując sobie podobną rolę człowieka skazanego na bolesne przyglądanie się cierpieniom niedoli polskiej.

Pobytowi Słowackiego na Wschodzie zawdzięczają swe powstanie dwa dosyć znane utwory: „Ojciec zadżumionych" i „Grób Agamemnona". Oba te arcydzieła oparte są na podobnym temacie cierpienia, powstającego jednak z innych pobudek. „Ojciec zadżumionych" — to obraz nieszczęścia Araba, ojca licznej rodziny, który w czasie panującej zarazy traci kolejno wszystkie dzieci i żonę.

Odtąd obojętnieje mu wszystko, a w pamięci jego zostały:

„Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica,
I w dzień błękitny, i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy".

Drugi utwór — „Grób Agamemnona", to okrzyk bólu poety w chwili, gdy stanął na mogiłach dawnych Greków, poległych w walkach o wolność i uprzytomnił sobie koniec powstania listopadowego, gdy „po dniach nieszczęśliwych zostało smutne pół rycerzy żywych". Poeta zarzuca Polsce słabość i bezsilność i wzywa:

„Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie.
Że taki wielki posąg — z jednej bryły,
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec".

Po powrocie do Europy, osiedliwszy się z początku we Florencji, a później już na stałe do końca życia w Paryżu, zaczyna poeta znów tworzyć wielkie dzieła dramatyczne. Przedewszystkiem przerabia i przygotowuje do druku napisaną przed kilku laty tragedję z przedhistorycznych dziejów Polski: „Balladynę". Jest to utwór oparty na tle ludowem, przedstawiający dzieje ubogiej dziewczyny, która od młodości pragnie wielkości, znaczenia i bogactwa. Do chaty jej matki przybywa wypadkiem hrabia Kirkor i zobaczywszy dwie piękne siostry, Alinę i Balladynę, jedną z nich pragnie wybrać za żonę. Los sam ma decydować: która nazbiera prędzej dzban malin w borze, ta zostanie hrabiną. Balladyna, zobaczywszy, że siostra ją ubiegła, zabija Alinę i z krwawą plamą na czole przychodzi pierwsza, zmyślając wieść o ucieczce Aliny. Zabójstwo pociąga za sobą szereg nowych zbrodni, przyczem Balladyna, nie zadowolniwszy się uzyskanem bogactwem, pragnie zdobyć dla siebie

koronę królewską. Po walkach, których ofiarą padają jej mąż i matka, Balladyna zasiada na tronie. Pierwszym jej czynem ma być wydanie wyroku na nieznanych sprawców licznych zbrodni, o których w tym czasie lud się dowiedział i które były w rzeczywistości dziełem jej ręki. Krwawa królowa musi wydać wyrok potępiający i w tej samej chwili pada piorun, zabijając sprawczynię zła. W samą treść utworu wpleciony jest pięknie przedstawiony świat fantastyczny pod postacią Goplany, królowej jeziora Gopła i jej pomocników, Skierki i Chochlika, oraz podanie o zaczarowanej koronie króla Popiela.

Tragedja ta poza pięknem formy zasługuje na uwagę ze względu na to, że dzięki niej zaczęła swój byt samodzielny nowożytna polska poezja dramatyczna. „Balladyna" w niektórych scenach przypomina dzieła wielkiego pisarza angielskiego, Szekspira. Nie zmniejsza to jednak jej wartości, a dowodzi, że literatura polska, chociażby z pewnem opóźnieniem, zaczyna dorównywać twórczości narodów zachodnio-europejskich, które już znacznie wcześniej miały wielkie tragedje, oparte na podaniach własnego narodu, a upiększonych fantazją natchnionych poetów.

Eug. Zdrojewski.

(C. d. n.)

Kartki z podróży.

Wszystko jedno z której.

Przed wojną pewien starzec siwowłosy dowodził mi zupełnie poważnie, że wszystko jedno gdzie i kiedy, a wszędzie porozumieć się można po polsku, jeżeli nie słowami to „na migi".—Nawet w samym środku Pekinu, nie umiejąc ani słowa po polsku, da sobie radę, byle nie był gapa! — tak mi ów starzec dowodził. Ja zaś mu wierzyłem, gdyż wiedziałem, że w różnych krajach bywał.

Wierzą w to i inni. Wierzy choćby ów dziennikarz warszawski, który w roku zeszłym uczynił zakład o 300 tysięcy złotych, że w ciągu co najwyżej trzech lat przejedzie dookoła cały świat, nie posługując się żadnym innym językiem jak tylko rodzinnym, a więc polskim; przytem podróż będzie odbywał za pieniądze tylko te, które sam w czasie podróży zarobi. Ma rację, że wierzy — napewno zakład wygra!

Ja także kiedyś w podróży świetnie rozmawiałem z Niemcem, który ani słowa po polsku nie rozumiał.

A było to tak: wracaliśmy w czterech z Rosji do kraju. Wędrowaliśmy przeważnie borami i najczęściej, nocami, wypoczywając w gąszczach leśnych. Nie mieliśmy bowiem dowodów zezwalających na powrót, a poczynając od rzeki Stochodu, w okolicach Maniewicz na Wołyniu — wszędy plątały się patrole niemieckie i wyłapywały takich ptaszków. Razu pewnego gdzieścić w okolicach jakiegoś Kupiczewa ulokowaliśmy się w ciemnym lesie, w pobliżu którego przebiegał tor kolejki wąskotorowej. Wydało nam się, że tor biegnie w stronę, w którą my idziemy. Wpadła nam tedy szalona myśl, a raczej chęć, aby nas Niemcy z kawałek „podwieźli". Byliśmy bowiem pomęczeni, języki wyłaziły nam na brody, nogi odmawiały posłuszeństwa — przytem zniechęceni strasznie bardzo głupiem niepowodzeniem nocnem. Krótko mówiąc — zabłądziliśmy.

— Pal licho! — powiadamy. — Niech co chce będzie, ale te trzy mile musimy odrobić, jeno nie kosztem własnych nóg, lecz kosztem niemieckiej lokomotywy!

Bogiem a prawdą, ja nie miałem chęci ryzykować, może dlatego, że najlepiej czułem się „na nogach". Ale dlatego tak uradzili, abym ja poszedł na zwiady do Niemca, który akurat stał przed budką. Trochę się wymawiałem— ale cóż było robić. Wziąłem tedy manierkę i poszedłem w stronę budki, najpierw po wodę, a potem po informacje. Niemiec zdaleka mię ujrzał, wpakował ręce do kieszeni, nogi szeroko rozstawił i patrzył ku mnie, pogwizdując sobie pod nosem melodję, zapewne niemiecką, bo chyba nie polską. Wietrzyk wiosenny lekko szarpał mu rozłechtaną na piersiach kolorową koszulę i biegł sobie dalej. Ja zaś zbliżałem się ku niemu i miarkowałem, czy też bardzo mocny, bo przecie w razie czego głupstwem byłoby pozwolić się zatrzymać po to, by zamiast do domu, trafić do robót polnych czy też innych u Szwabów. Tembardziej, że Niemiec był sam jeden, ja niby też — ale w pobliżu jeszcze trzech, przytem las pod nosem — a to grunt!

— Dzień dobry panu! — zawołałem prawie wesoło.

— Jo, jo!

— Niech będzie i tak — mruknąłem prawie sam do siebie, a potem głośno, wyraźnie, prawie sylaba za sylabą:

— Czy pan może mi dać wody?

— Jo, jo!

— To niby co? tak czy nie! — i jednocześnie rozgniewałem się na starca, który mi dowodził, że wszędzie i z każdym po polsku rozmówić się można. A więc i tutaj, choć to nie Pekin, ale tembardziej właśnie tutaj powinienem się rozmówić z tym oto panem ubranym jeno w trepy, spodnie i koszulę, bez względu na to, czy to Niemiec, czy Japończyk, czy też jaki inny Prusak.

W tej też chwili przypomniałem sobie jednak i dalsze powiedzenia tego starca, mianowicie, że jeżeli nie słowami, to „na migi".

A więc jazda: próżną manierkę biorę do ust, odrywam i patrzę na Niemca, potem na ma-

nierkę, ręką wskazuję na budkę, a słowami pytam:

— Zrozumiał pan teraz? Ma więc pan wodę? Jeżeli tak, to dawaj, pić mi się chce!

— A! jo, jo! — i znowóż zaczął po swojemu coś opowiadać, po kieszeni się macać, aż wreszcie wydobył kilka drobnych pieniążków i wskazał na moją kieszeń, gestykulując rękoma, a potem pobiegł do budki, wyniósł butelkę, zdaje się, że różowej lemonjady.

Wyjąłem markę i podałem mu. Wydał mi resztę, lemonjadę wlał do manierki i zadowoleni, że się nam udało dogadać, obaj zaczęliśmy się śmiać, patrząc sobie w oczy. Po chwili przystąpiłem do załatwienia drugiej sprawy.

— No, to i dobrze, mój drogi handlarzu lemonjady, żeśmy się dogadali. Ale powiedzno mi, dokąd ten pociąg tędy chadza, w jakich godzinach, a także czy tutaj raczy przystawać, a jeśli nie, to jak prędko biegnie? Rozumiesz przecie, mój drogi, że jesteśmy zmęczeni, dzisiejszą całą noc błąkaliśmy się po lasach i prawie w tem samem miejscu jesteśmy, z którego wyszliśmy wczoraj mniej więcej o tej porze. Jak ci się zdaje — czy mógłby nas podwieźć ku naszej chałupie ten pociąg? Zapewniam cię, że z mojemi nogami to jeszcze jako tako, ale Drożdzik ledwie żywy, zdaje mi się nawet, że gorączkuje; Weppa, ten sam co to się pisze przez dwa „pe" — powiada, że ani kroku dalej się nie ruszy; Stasiak ma pełno pęcherzy na obydwu nogach. Gdyby tak „tego", to bardzo bylibyśmy ci wdzięczni nietylko słowami, ale i uczynkami. Jak będziesz kiedy umykał przez Kozłówkę, pytaj o mnie, a napewno wskażę ci drogę do twojego kraju — co! zrozumiałeś?...

Niemiec stał uśmiechnięty i chciwie słuchał, aż dopiero, gdy skończyłem, zaczął do mnie przemawiać. Mówił, mówił i mówił i jeszcze raz, a może i więcej razy mówił, a ja słuchałem i zachwycałem się jego wymową. Mówił płynnie, dobitnie, akcentował niekiedy dość silnie — że aż w zachwyt mię to wprawiało. Pytacie o czem mówił? A czy to nie wszystko jedno? Może mi opowiadał o swojej matce i ojcu; może o żonie i dzieciach; może wypowiadał mi swoją tęsknotę za domem rodzinnym, a może chlubił się zwycięstwami armji, której był cząstką maleńką — może! Z przyjemnością wysłuchałem go jednak do końca, a gdy skończył, znowóż śmialiśmy się serdecznie i chyba szczerze. W duchu teraz przyznawałem rację owemu starcowi. Toć przecie świetnie rozgadaliśmy się z tym oto Niemcem.

Powiecie: — Cóż z tego, kiedy ani tyś Niemca, ani Niemiec ciebie nie rozumiał!

Odpowiem wam tedy:

— Razu pewnego słuchałem przemówienia na wielkiem zgromadzeniu, zwanem „wiecem", na którem mówca mówił po polsku czysto i płynnie, a niewiele więcej się dowiedziałem jak od tego Niemca.

— Ludu! Ty, który jesteś ludem mocarnym i wielkim, który masz moc jako piorun, w którego ramionach pręży się siła utajona! Ludu mocarny, który jesteś jako grzmot ziemią trzęsący — głosuj na listę oznaczoną numerem naszym! — wołał mówca.

Myślałem wtedy:

— Dlaczego akurat na tę, a nie na inną? Czy dlatego, że ten lud jest mocarny, wielki, mocny jak piorun, że w ramionach ma siłę utajoną, że jest znowóż mocarny, że jest jako grzmot? A gdyby był inny — to na jaką listę powinien głosować?

Gdy tak sobie rozmyślałem, jakiś tęgi, w ciepły kożuch odziany z tego ludu się poderwał, na ławce stanął, zacisnął pięść, wyciągnął ją w stronę mówcy i grożąc, wołał:

— A od piorunów i grzmotów to ty tam nie wymyślaj — bo my choć proste chłopy, ale prawdziwe chrześcijany! Ty psiakrew!

A przecież ten mówca przemawiał po polsku i do Polaków — a jednak trudno mu było porozumieć się ze słuchaczami.

Szkoda, że od tego momentu nie zaczął przemawiać „na migi" — mojem zdaniem musiałby coś więcej powiedzieć i prędzej byłby zrozumiany.

Ja bowiem po wygadaniu się z Niemcem „na języki" rozpocząłem rozmowę „na migi".

Wyjąłem zegarek, wskazałem ręką na tor i pytam:

— O której godzinie przechodzi pociąg? O tej? — wskazałem palcem na jedenastą, ponieważ była dziesiąta. A może o tej? — wskazałem na dwunastą.

Niemiec spojrzał na mój zegarek, wyjął swój, a potem wziął mi z rąk mój i podług swojego nastawił — przekonał się bowiem, że mój mocno przyspieszył.

— Dobre i to! — ucieszyłem się głośno. Ale nie o to mi chodziło!

Poczem skoczyłem na tor, ustami zacząłem fukać, rękami machać, a całem ciałem udawać parowóz. Niemiec odrazu zrozumiał i wskazał mi godzinę jedenastą z minutami.

I tak rozmawiając na migi, dowiedziałem się, że pociąg tutaj przystaje, że bez przepustek wsiadać niewolno, że takich jak my wyłapują, że powinienem natychmiast wracać do lasu, że on mi nic złego nie zrobi, bo od tego są inni, a jemu kazali tutaj siedzieć i coś tam robić — to i siedzi i robi to, co do niego należy, a o niczem innem myśleć nie musi.

Nauczyłem się przytem paru słów niemieckich, a więc: pociąg — to *cug*; nie — *nain*; uciekaj — *geweg*.

Tyle umiejąc po niemiecku, przejechałem

w Wielką Sobotę rano granicę, poza którą nawet małe dzieci umieją tym językiem rozmawiać.

Nie myślałem jednak o konieczności rozmawiania „na migi“ — bowiem kol. Pietrek i Zygmunt jako tako po niemiecku mówić umieją.

Tymczasem pociąg pędził i co chwila byliśmy coraz bliżej i bliżej Berlina, w którym na kilka godzin mieliśmy pozostać. Ale o tem potem.

Józef Niećko.

OSCAR WILDE*).

Szczęśliwy Książę.

Wysoko ponad miastem na wysmukłej kolumnie wznosił się posąg Szczęśliwego Księcia. Był on cały pokryty delikatnemi listeczkami ze szczerego złota, zamiast oczu miał dwa wspaniałe szafiry, a wielki rubin błyszczał na rękojeści jego miecza.

To też podziwiano go bardzo. — Jest tak piękny jak chorągiewki z kogucikiem od wiatru— zawyrokował jeden z radnych miejskich, chcący uchodzić za człowieka z gustem artystycznym — tylko nie tak pożyteczny, jak ona — dodał, obawiając się, ażeby go ludzie nie posądzili o brak zmysłu praktycznego, który w rzeczywistości posiadał.

— Dlaczego ty nie jesteś podobny do Szczęśliwego Księcia — pytała czuła matka swego małego synka, domagającego się w niebogłosy gwiazdki z nieba. — Szczęśliwemu Księciu nigdy się nawet nie śni płakać o coś.

— Rad jestem, że choć jeden człowiek był na świecie zupełnie szczęśliwy — mruczał ktoś zawiedziony widać w swoich nadziejach, spoglądając na godny podziwu posąg.

— Podobny jest zupełnie do anioła — mówiły sieroty z Dobroczynności, gdy wracały z katedry w swych jasnych szkarłatnych okrywkach i białych, czystych fartuszkach.

— Skąd możecie to wiedzieć? — zapytał nauczyciel matematyki — nie widziałyście nigdy żadnego anioła.

— Owszem, widziałyśmy go w naszych marzeniach — odpowiedziały dzieci, a nauczyciel matematyki zmarszczył się srogo, gdyż nie pochwalał marzeń dziecinnych.

Pewnej nocy leciała nad tem miastem Jaskółka. Towarzyszki jej przed sześciu tygodniami jeszcze uciekły do Egiptu, ona pozostała, bo zakochała się w pięknej Trzcinie. Zetknęła się z nią wczesną wiosną, gdy latała nad rzeką, goniąc wielką ćmę żółtą i była tak zachwycona jej wysmukłą kibicią, że zatrzymała się, by z nią porozmawiać.

— Pozwól się kochać — zaczęła Jaskółka, która lubiła odrazu przystępować do rzeczy, a Trzcina oddała jej niski ukłon. Zaczęła więc krążyć nad nią w kółko i w kółko, dotykając skrzydłami wód powierzchni i wywołując na niej srebrne zmarszczki. Zalecanki takie trwały całe lato.

— Śmieszne jest to jej przywiązanie—świergotały inne Jaskółki. — Trzcina nie ma grosza posagu, a tak dużo krewnych. — I rzeczywiście, rzeka była przepełniona Trzcinami. To też, gdy jesień nadeszła, wszystkie uciekły do ciepłych krajów.

Po ich odlocie Jaskółka uczuła się bardzo samotną i znudzoną damą swojego serca.—Nie posiada wcale mowy— zauważyła — a przytem obawiam się, że jest zalotną, bo ciągle bawi się z wiatrem. — I rzeczywiście, jak tylko wiatr zawiał, Trzcina gięła się we wszystkie strony w pełnych wdzięku ukłonach.

— Zdaje mi się, że lubi życie domowe — ciągnęła dalej — ja zaś ciągle podróżuję, naturalnie więc, że i żona moja powinna lubić podróżować.

— Czy chcesz polecieć ze mną do ciepłych krajów? — zapytała ją w końcu, na co Trzcina potrząsnęła przecząco głową. Ona tak bardzo była przywiązana do ziemi rodzinnej!

— Żartowałaś zatem tylko ze mnie—krzyknęła. — Uciekam więc do kraju Piramid*). Żegnam! — i odleciała.

Cały dzień podróżowała, aż nocą przybyła do miasta. — Gdzie spocząć? — pomyślała — Sądzę, że miasto uczyniło jakieś przygotowania dla mnie.

Wtem zobaczyła wysoką kolumnę z posągiem.

— Tu spocznę — zawołała — jest to prześliczne miejsce, pełne świeżego powietrza.—I ułożyła się u stóp Szczęśliwego Księcia.

— Mam złote gniazdko — szepnęła —gdy obejrzała się naokoło i zaczęła przygotowywać się do snu. Ale właśnie w chwili, gdy chowała główkę pod skrzydło, spadła na nią wielka kropla wody. — To dziwne — zawołała — niema ani jednej chmurki na niebie, gwiazdy iskrzą się jasno, a jednak deszcz pada. Klimat północnej Europy jest rzeczywiście nieznośny. Trzcina miała upodobanie w deszczu, ale to jedynie przez samolubstwo.

Wtem spadła druga kropla.

— Cóż za pożytek z takiego posągu, który nawet nie może ochronić przed deszczem— rzekła. — Muszę poszukać jakiego wygodnego komina.—I postanowiła polecieć dalej.

Lecz zanim rozpięła skrzydła do lotu, spadła trzecia kropla. Jaskółka podniosła główkę do góry i ujrzała... Ach! cóż ujrzała?

Oczy Szczęśliwego Księcia były łez pełne i łzy spływały po jego złotych policzkach. Ale

---

*) Oskar Uajdl.

*) Egiptu w Afryce.

twarz ta była tak piękna w blasku księżycowego światła, że Jaskółka była przejęta litością.

— Kto jesteś? — zapytała.

— Jestem Szczęśliwy Książę.

— Dlaczegóż więc płaczesz? — mówiła dalej — przemoczyłeś mnie całą łzami.

— Za życia, gdy miałem jeszcze serce ludzkie, — opowiadał posąg — nie znałem łez, bo mieszkałem w pałacu, *Bez trosk* zwanym, gdzie smutkom był wstęp wzbroniony. W dzień igrałem z towarzyszami w ogrodzie, a wieczorem przewodziłem tańcom w wielkim salonie. Ogród był otoczony wysokim murem, a ja nigdy nie starałem się dowiedzieć, co znajdowało się poza nim, gdyż wszystko wokoło mnie było tak piękne. Dworzanie moi nazywali mię Szczęśliwym Księciem i rzeczywiście szczęśliwym byłem, jeżeli rozkosz jest szczęściem. Tak żyłem i tak umarłem. I dopiero teraz, gdy po śmierci ustawiono mię tak wysoko, mogę widzieć całą ohydę i nędzę mego miasta i dlatego choć serce moje jest zrobione z ołowiu, muszę płakać.

— Jakto, więc on nie jest cały ze szczerego złota? — szepnęła do siebie Jaskółka. Była bowiem zanadto dobrze wychowana, żeby tę uwagę wypowiedzieć głośno.

— Tam daleko na krańcu miasta — mówił dalej posąg cichym, melodyjnym głosem, — tam daleko jest mała uliczka, a przy niej nędzny domek. Jedno z jego okien jest otwarte, widzę więc przez nie kobietę siedzącą przy stole. Twarz ma schudzoną i zniszczoną, ręce szorstkie i czerwone pokłute igłą, gdyż jest ona szwaczką. Haftuje suknię na bal dworski — cudne kwiaty pasiflory na atłasie — dla najpowabniejszej damy dworu królowej. W rogu pokoju na łóżeczku leży jej chory synek. Ma gorączkę i prosi o pomarańczę. Ale matka nie może mu jej dać, bo prócz wody nic nie posiada; dziecko więc płacze. Jaskółko, Jaskółeczko, moja Jaskółeczko, czy nie zechciałabyś zanieść jej ten wielki rubin z rękojeści mego miecza? Nogi mam uwięzione przy piedestale, więc nie mogę się ruszyć.

— Oczekują mnie w Egipcie — odrzekła Jaskółka. — Moje towarzyszki latają ponad Nilem i gawędzą z wspaniałemi kwiatami lotosu. Noc spędzają w grobowcu wielkiego Króla. Król ten spoczywa tam w malowanej trumnie. Owinięty w żółte płótna jest zabalsamowany rożnemi wonnościami. Szyję jego okala łańcuch blado zielonych nefrytów, a ręce jego są podobne do zeschłych liści.

— Jaskółko, Jaskółeczko, droga Jaskółeczko, — przerwał jej Książę — czy nie zechciałabyś poświęcić mi jednej nocy i być moim dobrym posłem? Chłopczyk jest tak spragniony, a matka taka smutna.

— Nie lubię chłopców — odrzekła Jaskółka. — Ostatniego lata, gdy mieszkałam nad rzeką, dwaj niegrzeczni chłopcy, synowie młynarza, rzucali stale kamieniami na mnie. Naturalnie, że nigdy we mnie nie trafili, bo my jaskółki latamy za dobrze na to, a przytem pochodzę z rodu, słynnego ze swej zwinności. W każdym razie było to oznaką nieżyczliwości względem mnie.

Ale Szczęśliwy Książę wyglądał tak smutny, że Jaskółka go pożałowała. — Jest tu wprawdzie bardzo zimno, — powiedziała — ale pozostanę z tobą tę noc i będę twoim dobrym posłem.

Dziękuję ci, Jaskółeczko—powiedział Książę.

Tak więc Jaskółka wyjęła wspaniały rubin z miecza Księcia i trzymając go w dziobku, wzleciała ponad dachy miasta. Minęła wieżę katedralną z białemi marmurowemi aniołami. Minęła pałac, skąd ją dolециały dźwięki muzyki tanecznej. Piękna dziewczyna wyszła na balkon z narzeczonym. — Jak cudnie błyszczą gwiazdy i jak wielka jest potęga miłości!

— Sądzę, że suknia moja będzie gotowa na bal dworski— odrzekła. Kazałam wyhaftować na niej kwiaty pasiflory, ale szwaczki są tak leniwe.

Minęła rzekę, gdzie widziała latarnie, wiszące na masztach; ghetto*), gdzie starzy żydzi kupczyli między sobą i ważyli pieniądze na miedzianych szalkach. Nakoniec dotarła do nędznego domku i zajrzała do wnętrza. Chłopczyk rzucał się w gorączce na łóżku, a matka drzemała, tak była zmęczoną. Jaskółka wskoczyła do środka i położyła wspaniały rubin na stole, obok naparstka szwaczki. Następnie okrążyła cichutko łóżeczko, wachlując skrzydełkami czoło chłopczyka, który szepnął: — Chłodniej mi jest, — musi mi być lepiej — i zapadł w sen rozkoszny.

Wówczas Jaskółka poleciała z powrotem do Szczęśliwego Księcia i opowiedziała mu, co zrobiła. — To dziwne — zauważyła, — ale jest mi zupełnie ciepło, chociaż powietrze jest tak zimne.

— Dlatego, że spełniłaś dobry uczynek — odpowiedział Książę, a Jaskółeczka zaczęła rozmyślać i usnęła. Myślenie bowiem zawsze ją do snu usposabiało.

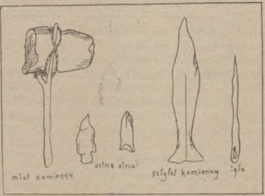
Przełożyła z angielskiego, *W. Pławińska.*
(C. d. n.)

Pierwsze zdobycze człowieka.

W odległych, mrocznych czasach człowieka przedhistorycznego nie znano jeszcze ani ognia, ani schroniska w postaci domu, ani środków obrony lub zabezpieczenia się przed niebezpieczeństwami otaczającej natury. Jakże cudownemi, nadprzyrodzonemi zdawałyby się ówczesnemu człowiekowi najprostsze zdobycze cywilizacji: chleb, dom, piec lub zwyczajne płótno! Biedny, przedhistoryczny człowiek, dziki, niemal nagi, bo zaledwie zdartą z zabi-

*) Tak zwała się w dawniejszych czasach ta część miasta, gdzie żydom wolno było mieszkać.

tego zwierzęcia skórą odziany, — z maczugą (pałką) w ręku szedł na polowanie, a żona jego z dziećmi, o ile w wyprawie towarzyszyć nie mogła, zostawała w przypadkowo znalezionem schronieniu, najczęściej jaskini skalnej. Za legowisko służyła im garść mchu, lub liści, za pożywienie różne korzonki, owoce, lub surowe mięso. Jakiż nędzny żywot! Najgorszy z dzisiejszych nędzarzy nie zechciałby zapewne żyć w podobnych warunkach. Wystawiony na głód i zmiany atmosferyczne, otoczony



zewsząd silniejszemi od siebie zwierzętami, bez narzędzi i broni człowiek — jakże uniknął zagłady? W jaki sposób zdobył i udoskonalił swoją wszechwładzę? Posiadał zapewne coś, z czego może sam jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jakąś siłę tajemną, która wyróżniała go i dawała mu przewagę. Posiadał ducha twórczego, dążącego z niepojętą siłą do obmyślenia środków, któreby mu życie uczyniły nietylko możliwem, ale i przyjemnem.

Z całem wytężeniem więc umysłu, zaczął zabezpieczać się od szkodliwych wpływów otoczenia, lub też wyciągać z niego wszystko, co się dało dla swego pożytku i wygody. Podział i zakres pracy mężczyzny i kobiety ujawniły się drogą naturalną od dawniejszych czasów. Mężczyzna jest dostarczycielem pokarmów, i w tym celu organizuje polowania lub połów ryb, kobieta zaś organizuje zaczątki gospodarstwa i stara się zdobycz męża użyć i przetworzyć w najlepszy sposób. To samo jest z mieszkaniem, którego wnętrze zabezpiecza od wilgoci i zimna. Wprawdzie dla człowieka pierwotnego mieszkanie służyło tylko dla snu, lub schronienia przed deszczem i zimnem, ale z czasem stało się również miejscem odpoczynku.

Niesłychaną zmianę wprowadziło w życie pierwszych ludzi poznanie i użytkowanie ognia — tego sztucznego ciepła, które do dziś tak bardzo cenimy. Zapewne pierwszy widok zapalonego przez piorun drzewa wywołał przestrach, ale wprędce człowiek, pokonawszy obawę, ocenił swym cudownym zmysłem dobroczynny wpływ tego żywiołu i w pierwszej linji zaprzągnął go do ogrzewania skostniałych z zimna członków, do odstraszania dzikich zwierząt i w końcu do przyrządzania potraw. Poznano wkrótce, że mięso wysuszone, lub wędzone można dłużej przechowywać, a upieczone na rożnie, lub rozpalonych kamieniach, nabiera przyjemniejszego smaku. Z czasem utrzymywanie i podsycanie stałe ogniska staje się udziałem kobiet, które udoskonalają sposób przyrządzania zwierzyny i roślin, doprowadzając tę sztukę do dzisiejszej doskonałości. Poznano również, że i pewien gatunek gliniastej ziemi pod wpływem gorąca twardnieje, zachowując kształt nadany. Tak powstał wyrób pierwszych naczyń glinianych. Odtąd zakres pracy domowej kobiet rozszerza się niesłychanie, a pomysłowość idzie w zawody z przedsiębiorczością mężczyzny.

Jak czczoną była siła ognia w dawnych czasach, najlepiej ocenić możemy z tego, że u wielu narodów poświęcano młode dziewczyny na kapłanki świętego ognia w świątyniach pogańskich. U ludów zaś pierwotnych w miejscach, gdzie wydobywały się z pod powierzchni ziemi gazy palne — zakładano świątynię, n. p. w Baku na morzem Kaspijskiem.

Dalszym stopniem kultury były narzędzia, początkowo z kamienia. Krzemienne topory, młoty, noże, przybory łowieckie i rybackie z kości łosia lub rybich ości, igły do zeszywania skór, wszystko duże, niezdarne w porównaniu z dzisiejszemi wyrobami.



Jakżebyśmy się bawili widokiem igły z kości lub krzemienia, którą kazanoby nam zeszywać jakiś kożuch lub worek, a jednakże te igły oddawały nieskończenie wielki użytek przy używaniu skór i futer. Włókna roślinne, lub cienkie jelita zwierzęce służyły za nici. Z czasem włókna roślin, skręcane po kilka razem, dawały silne postronki, a początkiem tkanin były maty t. zn. plecionki — coś w tym rodzaju jak maty ze słomy, używane do przykrywania warzywa. W każdym razie sposób plecenia łyka roślinnego dał pierwszy pomysł cieńszych plecionek — tkanin.

A. Podgórska.

Chrabąszcz.

Jest to owad tęgopokrywy: z dwu par skrzydeł górna twarda i mocna, gdy dolna miękka i błonkowata. Z nich pierwsza nieruchoma podczas lotu, gdy dolna służy jako narząd lokomocji powietrznej. Tęgopokrywe nazywają też chrząszczami. Owady te, podobnie jak i motyle, przy rozmnażaniu swem przechodzą przeobrażenie zupełne. Samiec (z bronzowemi wąsami) zapładnia samice, które potem składają jajka, a z nich wydostają się larwy, zwane pędrakami. Ostatnie zamieniają się w poczwarki, t. j. nieruchomą i nieprzyjmującą pokarmu postać owada, a te—w doskonale ukształtowane owady. Zapładnianie chrabąszczy odbywa się w maju. Po spełnieniu swego przeznaczenia, chrabąszcze zamierają. Zwykle też w maju chrabąszcze żerują na liściach różnych drzew owocowych i ozdobnych, ogołacając nieraz rośliny całkowicie z liści, czem przyczyniają wielkie szkody. Zapłodnione samice składają do stu jajek wgłąb pulchnej i niezacienionej ziemi, najchętniej w suchsze torfowiska i odłogi, tj. ziemie nieuprawiane. Po paru tygodniach z jajek wydostają się pędraki, które zaczynają niszczyć drobne korzonki roślin, a od drugiego roku życia napastują korzenie wszystkich roślin. W naszym klimacie chrabąszcz potrzebuje 4-ch lat do swego całkowitego rozwoju, dlatego też mamy co 4 lata okresy chrabąszczowe, ale nie w całym kraju jednocześnie, a małe ilości chrabąszczy ukazują się corocznie, należąc do innego rocznika, niż zasadniczy. W klimacie cieplejszym całkowite przeobrażenie ma miejsce już po trzech latach. Chrabąszcze, zarówno w postaci owada jak i pędraka, wyrządzają bardzo duże szkody, walka przeto z niemi musi być prowadzona stale. Chrząszcze te strząsamy z drzew najlepiej nad ranem, gdy zdrętwiałe; zgarniamy je szybko i palimy albo zużytkowujemy na karm dla drobiu lub też, po uprzedniem zalaniu gorącą wodą, rzucamy na kompost lub dajemy świniom na pożarcie. Stosuje się też strząsanie ich do dwu szerokich koryt blaszanych, przystawionych z dwu stron drzewa. Wiele pędraków ginie podczas orki, gdyż ptactwo pożera je masami, szczególnie gawrony. Naturalnymi sprzymierzeńcami naszymi w walce z pędrakami i z poczwarkami chrabąszcza są krety. A bodaj najważniejszymi wrogami ich i niszczycielami — świnie. W uprawach warzyw i truskawek sadzimy zrzadka sałatę, jako roślinę chwytną. Sałata bowiem, zaatakowana przez pędraki, więdnie. Wówczas wykopujemy roślinki i wydostajemy pędraki w celu ich zniszczenia. Należy też zbierać chrabąszcze przy udziale jak największych ilości ludzi, gdyż zaoszczędzamy sobie szkód w roku występowania tych szkodników i zapobiegamy im na przyszłość. Jest to najważniejszy czas i sposobność do ich tępienia. W Niemczech znane są święta chrabąszczowe w maju, gdy zwolniona ze szkół dziatwa oddaje duże usługi, pomagając starszym przy zbieraniu i niszczeniu tych groźnych szkodników. U nas Koła Młodzieży Wiejskiej mogłyby się też tą czynnością zająć, do czego usilnie zachęcamy.

Z. Makowski.

Rozmnażanie kasztana.

Roślina, której rozmnażanie opiszemy, nazywa się właściwie: kasztanowiec albo kasztan gorzki. Z kasztanem jadalnym nie ma nic wspólnego, gdyż należy do innej rodziny. Podobieństwo wyraża się jedynie w wyglądzie nasienia. Drzewo to oddawna nazywane jest w mowie potocznej kasztanem, dlatego nazwę jego utrzymujemy. Kasztan tedy rozmnażamy z siewu. Nasienie jego wymaga stratyfikacji. Przetrzymane do wiosny, traci siłę kiełkowania. Gatunki i odmiany kasztana można szczepić lub oczkować na podkładce kasztana zwykłego. Na zrazy używać należy tylko części pędów z pączkiem wierzchołkowym, ponieważ ten tylko jest dobrze wykształcony i góruje nad wszystkiemi innemi. Dotyczy to również i oczkowania. Pączek wierzchołkowy do oczkowania użyty musi być ścięty z kawałkiem drewna, ukośnie, jak do łączenia, i zasadzony za odchylone płaty kory.

Z. M.

KRONIKA ORGANIZACYJNA

Do wiadomości Kół Młodzieży. Posiadamy na składzie piłki nożne, palanty, piłki koszykowe, klipy angielskie, pompki do piłek nożnych. Koła pragnące wymienione rzeczy nabyć mogą się zgłaszać osobiście lub listownie. Przyrządy w dobrym gatunku i po cenach przystępnych, niższych aniżeli w składach przyborów sportowych.

Walny zjazd delegatów Kół Młodzieży Wiejskiej pow. Dubieńskiego na Wołyniu. W niedzielę dn. 17 maja b. r. odbędzie się w Dubnie w sali Spółdzielni Rolniczo-Handlowej przy ul. gen. Listowskiego pierwszy zjazd Kół Młodzieży Wiejskiej pow. Dubieńskiego. Obrady rozpoczną się o godz. 12 w południe. Porządek nast: 1) Zagajenie, wybór Prezydjum i powitania. 2) Referat: „Koła Młodzieży Wiejskiej, ich cele i zadania". 3) Sprawozdanie z dotychczasowej działalności Instruktorjatu Kół Mł. W. i uchwalenie zorganizowania powiatowego Związku M. W. 4) Referaty: a) o wychowaniu fizycznem; b) plan pracy na

r. 1925. 5) Ogólna dyskusja i uchwalenie wniosków. 6) Wybory Zarządu i Komisji Rewizyjnej. 7) Wolne wnioski. 8) Wspólna fotografja.

Zarządy Kół zechcą dołożyć starań, by jak najwięcej członków przybyło na zjazd.

Walny zjazd delegatów Kół Młodzieży Wiejskiej pow. Brzezińskiego. W d. 7 czerwca b. r. g. 2½ pp. w gmachu szkoły kolejowej w Koluszkach odbędzie się Walny Zjazd delegatów Kół Mł. pow. Brzezińskiego. Porządek dzienny następujący:

1) Zagajenie. 2) Referat. 3) Sprawozdanie z działalności O. Z. M. W. 4) Dyskusja nad sprawozdaniem. 5) Referat przewodniczącego O. Z. M. W.: „O pracy młodzieży". 6) Zatwierdzenie budżetu O. Z. M. W. 7) Sprawa sprawozdania z dn. 18 I. r. b. 8) Wolne wnioski. 9) Koncert orkiestry symfonicznej w Koluszkach, ew. przedstawienie amatorskie.

Walny Zjazd Okręgowego Związku M. W. pow. Zamojskiego. W r. b. Okręg Zamojski zamierza urządzić Zjazd delegatów Kół Mł. w lesie i połączyć go z zabawą i zawodami. Będą wyznaczone specjalne nagrody za najlepsze odegranie przedstawienia, wygłoszenie deklamacji, śpiew, za najsprawniejszy skok i najszybszy bieg.

Pozatem Okręg przystępuje do ufundowania sztandaru własnego, który prawdopodobnie w jesieni będzie już w posiadaniu Związku.

Wykaz miejscowości, z których Koła Młodzieży złożyły sprawozdania za r. 1924. (Ciąg dalszy). 229) Kotlin; 230) Kamionka; 231) Spiczyn; 232) Kopina; 232) Belsk; 234) kol. Suchowola; 235) Finkówka; 236) Anatolja; 237) Lubieszcze; 238) Koryczany; 239) Czermin; 240) Dwikozy; 241) Rokitnia; 242) Lubomin; 243) Radoryż.

Baczność Koledzy! Przypominamy wezwanie Przewodniczącego naszego Związku, kol. P. Olewińskiego, zamieszczone w ubiegłym numerze „Siewu".

Weźcie je do serca i rozumu, natężcie wolę i nadsyłajcie sprawozdania za rok 1924! Najwyższy czas — potem będzie już za późno.

Jak obchodziliście święto 3-go maja? Opiszcie choćby w najkrótszych słowach i przeszlijcie do nas. W opisie takim podajcie cały program obchodu, oraz jak duże zainteresowanie tem świętem było wśród miejscowej ludności.

Z KÓŁ I ZWIĄZKÓW

Zawody sportowe we Franciszkowie.

Dnia 3-go maja b. r. odbyły się zawody lekkoatletyczne sekcji sportowej Koła Młodzieży Franciszkowa i Jesionki. Na program zawodów złożyły się:

1. Bieg damski na 250 metrów
2. Bieg męski na 1500 metrów.

Potem była część nieoficjalna, którą stanowiły próby skoków wdal i wwyż bez uprzedniego przygotowania i zapisów, oraz biegi dziatwy szkolnej na 250 metrów. Pomimo niezbyt sprzyjającej pogody na zawody wyruszył o godzinie 4 p. p. ze świetlicy Koła duży orszak, złożony z grupy zawodniczek i zawodników, drużyny harcerskiej, grona starszych mieszkańców Franciszkowa i Jesionki, oraz gości, przybyłych na uroczystości urządzone ku czci święta Konstytucji 3-go Maja. Przy dźwiękach marsza granego przez wiejską kapelę, przybyli wszyscy na bieżnię, którą stanowiła wycięta w lesie linja. W pierwszej konkurencji startowało 6 koleżanek. Pierwsze miejsce zajęła kol. Kłopocka Marja, przebywając 250 metrów w 52 sekundy, 2-gie kol. Kłopocka Helena—55 sek. W biegu 1500 metrowym startowało 9-ciu kolegów. Zwyciężył kol. Ulewicz Edward w pięć minut 15 sekund, 2-gi Wójcicki Roman—5m. 22 sek. 3-ci Bronowski Józef I —5 m. 30 sek. Biegi odbywały się na równej, porosłej trawą ziemi, która wskutek deszczu była nieco śliska, co utrudniało bieg, zwłaszcza na 250 metrów. Naogół zarówno zawodniczki jak i zawodnicy z Koła Młodzieży we Franciszkowie i Jesionce stanowią b. dobry materjał sportowy, brak im jednak racjonalnego a przedewszystkiem systematycznego i ciągłego treningu (ćwiczenia). Zaznaczyło się to szczególnie w biegu na 1500 metrów. Zawodnicy ruszyli ze startu odrazu w zawrotnem tempie, naskutek czego paru nie skończyło biegu, gdyż już po 1000 metrach byli wyczerpani. Pomimo jednak braku treningu czasy uzyskane przez zwycięzców są niezłe i wróżą im dobrą przyszłość. Koleżanki przy odrobinie treningu mogłyby mieć czas znacznie lepszy.

Prawdziwą atrakcją były próby dziatwy szkolnej do 15 lat. W jednej z nich zwyciężyła młoda kol. Regina Redwańska, przebiegając 250 metrów w **43 sek.** Na początkującą i bez treningu—czas ten jest świetny; młodziutka zawodniczka ma świetne warunki sportowe i powinna pracować nad sobą.

W skoku wdal przewyższył wszystkich Ulewicz Edward, skacząc 4 m. 24 cm. Zwycięzcy w zawodach otrzymali od Koła piękne nagrody, do których Centrala Związku Młodzieży Wiejskiej dołączy książki z dziedziny sportu.

Zawody jak i całą uroczystość organizował przewodniczący Koła Młodzieży, Edmund Tomaszewski, niezmordowany działacz na niwie społecznej. Jego niepospolitej energji i umiłowaniu młodzieży należy zawdzięczać rozwój pracy młodzieży Franciszkowa i Jesionki w różnych dziedzinach, a także i w dziedzinie sportu.

Le-Lu

Z Okręgu Grodziskiego.

Dnia 30 kwietnia b. r. Okręgowy Związek Mł. W. w Grodzisku zorganizował **sekcję prelegentów**, która jest w możności obsłużyć wszystkie organizacje oświatowe znajdujące się na terenie wsi naszego powiatu. W skład sekcji prelegentów wchodzą ludzie z fachowem przygotowaniem. Jeżeli chodzi o sprawy samorządowe — referował je będzie Inspektor samorządowy i przedstawiciele samorządu powiatowego. W sprawach wychowania fizycznego p. profesor gimnastyki, znany ze swej działalności na terenie naszym, p. Szczerkowski, oraz oficer inspekcyjny, p. por. Mielczarski. Oświatę pozaszkolną reprezentują pp. Inspektorzy Szkolni z całym zastępem nauczycielstwa.

Sekcję prelegentów reprezentują studenci, należący do Koła Studentów na terenie Grodziska. Jeżeli chodzi o sprawy kobiece to i do tej dziedziny zaangażowało się parę pań.

Wobec tego prosimy Koła Młodzieży i pokrewne organizacje społeczne o wykorzystanie ludzi, którzy chcą pracować na polu oświaty i z każdej dziedziny z jakiej tylko poszczególne Koła zażądają — prelegentów dostaną. Jednak zaznaczamy, że zaproszenia prelegentów muszą się odbywać conajmniej **na dwa tygodnie** przed zebraniem. I organizacje powinny pomyśleć o środkach lokomocji dla prelegentów.

Mamy niezłomną nadzieję, że koledzy i koleżanki zechcą wykorzystać siły przygotowane dla nich. Jednocześnie zawiadamiamy, że Okręgowy Związek Mł. Wiejskiej w Grodzisku urządza w dniu 31 maja b. r. pierwszy Zjazd Organizacyjny delegatów Kół Młodzieży Wiejskiej. Wobec tego prosimy poszczególne Koła o przygotowywanie sprawozdań.

Zjazd będzie połączony z wieczornicą i przedstawieniem amatorskiem. O miejscu Zjazdu zawiadomimy oddzielnie.

Sekretarz O. Z. M. W.: — *St. Popławski.*

Z Sochaczewskiego.

Młodzież wsi Janowa, Janówka i Brochowa z. Sochaczewskiej bierze żywy udział w pracy wspólnego Koła Młodzieży W. Również rodzice młodzieży oraz miejscowy proboszcz odnoszą się z dużą życzliwością do działalności Koła, które wykazało większą żywotność, organizując w ciągu ubiegłego kwartału 24 zebrań, na których odbywały się czytania „Siewu“, odczyty, pogadanki, referaty, oraz 5 wieczornic i zabaw. Z inicjatywy Koła, a w szczególności kol. Kacprzaka Lucjana zorganizowano straż ogniową ochotniczą, do której należą wszyscy koledzy z Koła. Członkowie Koła noszą się z zamiarem rozpoczęcia pracy w dziedzinie sportów. Na pierwszym planie chcieliby zorganizować wioślarstwo i piłkę nożną. Na przeszkodzie tym zamiarom stoi brak środków finansowych. Wśród członków Koła daje się zauważyć wielkie zainteresowanie, książkami zwłaszcza poważniejszemi, których, niestety, brakuje w dostatecznej ilości. Bibljoteka Koła liczy narazie 45 książek. Z beletrystyki szczególną sympatją czytelników cieszy się „Pan Tadeusz“, „Pan Starosta“, „Hania“.

Poziom umysłowy i kulturalny wśród członków jest dość wysoki. Należy życzyć Kołu, aby, zataczając coraz szersze kręgi, czyniło dalsze postępy w swej pracy.

Zik.

Koło Mł. w Woli Chomejowej.

Koło nasze zostało zorganizowane w grudniu ub. r. przez miejscowego nauczyciela, p. Jana Mańka, który pracuje nietylko nad wychowaniem i nauką dziatwy szkolnej, ale i nad dorosłą młodzieżą. Najpierw zorganizował przedstawienie teatralne, na którem była wystawiona sztuka: „Złote Pantofelki“ i „Cudowny Doktór“. Zachęcił tem wszystką młodzież nietylko z naszej wioski, ale i z okolicy. W styczniu r. b. odbyło się 2 gie przedstawienie teatralne, na którem była wystawiona sztuka: „Pilnuj swego“ i „Kłopoty z patelką“. Aktorzy grali dość dobrze pod kierownictwem p. nauczyciela. Cały dochód został przeznaczony na założenie bibljoteki. Najgorsze, że nie mamy lokalu na zebrania i przedstawienia, lecz dotychczas chętnie pozwala nam się zbierać nauczycielstwo w lokalu szkolnym po skończonych lekcjach z dziećmi. Wspomnę i o nauczycielce, p Jadwidze Thierówni, która też sporo zrobiła za tak krótki czas pobytu w naszej wsi. P. J. Mańko zorganizował Koło Młodzieży i zachęcił nas do czytania książek. Udziela wskazówek gospodarzom jak się zabezpieczyć od piorunów i jak zakładać i prowadzić wzorowo ogrodnictwo i t. p. P. J. Thierówna uczy dziewcząt w III i IV odz. haftu i innych pięknych robót kobiecych. Oznajmiła na ogólnem zebraniu Koła Mł., że 3 wieczory tygodniowo będzie uczyła starsze dziewczęta także robót. W nauczycielstwie więc naszem mamy prawdziwe siły oświatowe. Nietylko uczą dzieci, ale młodzież dorosłą i starszych. Gdyby tak pracował ogół nauczycielstwa, wieś bardzo prędko podniosłaby się na wyższy poziom kultury.

Aleksander Chromiak, członek Kom. Rewiz.

Droga do nowego życia.

Dzień 1 go kwietnia. Zaledwie blady świt, na wsi zupełnie martwo — wszyscy śpią. Powietrze zupełnie spokojne, niebo wypogodzone, gwiazdy błyszczą migotliwie, jakby miały wkrótce zasnąć. Jedynie dzikie ptactwo w pobliskich bagnach gawędziło pomiędzy sobą w swoim ptasim żargonie. Godzina pół do czwartej rano... Przeszedłem przez wieś uśpioną, udając się na plac budowy Domu Ludowego. Wkrótce potem pojedyń-

czo z poszczególnych domostw zaczęli się wychylać ludzie, brać rydle, wiadra, zmierzając w kierunku placu, gdzie ma stanąć Dom Ludowy.

To członkowie Koła Młodzieży w Barszczewie. Niewielu ich przybyło, bo zaledwie 12, co stanowi mniej więcej czwartą część ogólnej liczby młodych mężczyzn z całej wsi. Ale tych dwunastu ludzi było przejętych jedną myślą: wznieść jak najprędzej ów Dom, ostoję wsi, twierdzę kultury, drogę do nowego życia Tych dwunastu, to najlepszy element wsi, to ludzie, którzy z niezachwianą wiarą przez cierniowe drogi życia kroczą niezmordowanie naprzód. I zdaje się, że w tym pochodzie żadne trudności powstrzymać ich nie zdołają. Takich nam trzeba w Polsce jak najwięcej!

O godzinie 4 m. 30 młodzież żwawo zabrała się do mieszania żwiru z cementem. Zabraliśmy się bowiem tego dnia do bicia fundamentu. Czworobok 25 m. długi, 10 metrów szeroki, 60 cm. wysoki stanął w ciągu jednego dnia. Praca była poprostu zadziwiająca. Patrząc na tych ludzi, miałem wrażenie, że przez ten cały dzień o niczem nie myśleli; pot kapał im z czoła, jednak praca posuwała się ciągle naprzód. Przytem młodzież rozweselała się przez cały dzień dobremi dowcipami, w czem wybitnie celował kol. Wacek Skoblewski, odpowiadając wszystkim do rymu bez chwili namysłu. I oto dziś stoi już fundament, po wysuszeniu którego nastąpi dalsza praca, o czem nie omieszkam Koleżanki i Kolegów z innych Kół powiadomić. Pragnąłbym bardzo, żeby inne Koła mogły jak najprędzej pójść za naszym przykładem. W żadnym razie nie można się tłumaczyć nieodpowiedniemi warunkami, bo tak trudnych warunków, jakie ma Koło Młodzieży w Barszczewie, to chyba nie posiada żadne z istniejących Kół. Ale niezłomna wola, niezachwiana wiara w lepszą przyszłość czyni z ludzi olbrzymów, którzy przed żadną pracą się nie cofną, żadnych burz się nie ulękną.

Stefan Kalina.

(PRZYP. RED. Prosimy o nadesłanie do Redakcji zdjęć fotograficznych z budowy Domu Ludowego, a napewno zachęcą one inne Koła Mł. do pracy).

Z ŻYCIA SZKÓŁ ROLNICZYCH

Jeszcze głos w dyskusji z życia szkół rolniczych.

Artykuły zamieszczane w „Siewie" o życiu w szkołach rolniczych pobudziły mię do wypowiedzenia się o obecnym sposobie prowadzenia tych szkół. Chciałbym tu zwrócić uwagę głównie na kierunek, w jakim obecnie panowie dyrektorowie i panie dyrektorki szkoły te prowadzą, jaki przedewszystkiem mają cel na oku, jak obszerne zakreślają sobie pole działania. Byłem dyrektorem pierwszej szkoły rolniczej wiejskiej, założonej w Kongresówce niesłychanym wprost wysiłkiem panny Jadwigi Dziubińskiej przy pomocy ówczesnego redaktora „Zorzy", M. Malinowskiego. Wizytowałem przez pewien czas niższe szkoły rolnicze w byłej Galicji, w końcu kierowałem znów szkołą gospodarstwa wiejskiego w wolnej już Polsce i ocierałem się blisko o szereg takichże szkół, powstających w Rzeczypospolitej. Sądzę przeto, iż głos mój w dyskusji o szkołach rolniczych ma pewne podstawy wiarogodności i niebardzo odbiega od prawdy.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, iż panujący duch w każdej szkole ściśle odzwierciadla się z duchem i zapatrywaniami jej dyrektora, czy dyrektorki; jest to fakt i pewnik. Otóż parokrotnie miałem sposobność stwierdzić, iż większość, bardzo duża większość obecnych kierowników i kierowniczek szkół rolniczych nie ma w sobie ani krzty ducha demokratycznego. Wprawdzie niektórzy i niektóre z nich uważają się za ludzi postępowych, ale w rzeczywistości niema w nich ani prawdziwego postępu, ani prawdziwej demokracji. A przecie kierują i wychowują młodzież pracującego ludu wiejskiego, młodzież z urodzenia i pochodzenia bezwzględnie demokratyczną. Można przeto dziwić się, iż w szkole takiej powstają tak często rozdźwięki, a nawet przykre nieporozumienia.

Ten brak szczerego demokratyzmu sprawia, iż kierownictwo uważa swe wychowanki i wychowanków za małe dzieci, wprawdzie dzieci już zupełnie rozwinięte fizycznie, ale duchowo głupiutkie, bez żadnych pragnień i bez żadnych marzeń. Stąd więc to pilnowanie dokładnego mycia się, tego obowiązkowego modlenia się wspólnie rano i wieczór, tego przykładnego żegnania się razem przed jedzeniem i obowiązkowego bywania co niedziela i święto w kościele z książeczkami do nabożeństwa. Zupełnie jak na zwykłej pensji dla zamożnych panienek. Ale tam są rzeczywiście bezmyślne, rozkapryszone dzieci, a tu są obywatelki i obywatele państwa, których wychowywało i kształciło twarde, surowe życie na wsi. Wprawdzie do szkół rolniczych przyjmowana jest młodzież już w 17-ym roku życia, ale przecie w 17-ym roku dziewczyna może już być prawnie żoną i matką, a chłopiec musi w razie potrzeby chwytać za karabin i oddawać życie dla Ojczyzny. A więc to nie nad wiek rozrosłe dzieci, ale młode obywatelki i obywatele, którzy właśnie na drodze tej pierwsze kroki stawiać mają i których bez ogródek należy uświadamiać, jak różne są te drogi i w jak różnych idą kierunkach. To są rzeczy o wiele ważniejsze, niż ściśle stosowanie się do przestarzałych regulaminów, od których nie zwolniono jedynego nawet u nas uniwersytetu ludowego.

Jakże innym duchem owiany był Pszczelin w pierwszych latach swego istnienia. Tyle to już lat temu, a my zamiast iść naprzód, to się raczej cofamy. A były to przecież lata niewoli, lata ucisku, kiedy pobudzać do życia obywatelskiego można było tylko szwarcunkiem, wybiegiem. Ba, nawet trzeba było starannie ukrywać nauczanie języka polskiego. Wystawiało się więc w programie szkoły tylko naukę fachową, jak siać, orać, hodować konie, krowy, pszczoły, warzywa i drzewka owocowe. I niestety, dzisiejsze nasze szkoły rolnicze idą w duchu ówczesnego programu. Uchodzą i chcą uchodzić za szkoły wyłącznie fachowo-rolnicze, więc też główna ich uwaga, główny nacisk kładzie się na rolnictwo, hodowlę, ogrodnictwo i pszczelnictwo, kładąc na drugim planie język, historję i geografję Polski, rachunki, a naostatku dopiero naukę obywatelską. Wszak jeszcze parę lat temu nauka ta nie była w programie umieszczana. A dziś, kto jej uczy, kto wychowankom i wychowańcom szkół rolniczych wskazuje tę najważniejszą w ich życiu drogę, kto ich uobywatelnia? Przeważnie nauczycielka, lub nauczyciel przedmiotów ogólno-kształcących.

Twierdzę też z całem przekonaniem, że nasze szkoły rolnicze nie spełniają w zupełności swego zadania, nie spełniają, bo poprostu nie uważają się za powołane do szerszego działania. Chcą być i są też litylko szkołami czysto fachowemi. Dobrowolnie zwęziły i ograniczyły zakres swych czynności, nie starają się promieniować nazewnątrz, mało albo wcale nie odziaływują na bliskie nawet sąsiedztwo, przekładając spokojne, ciche jakby klasztorne życie. Że tak jest w istocie, dowodzi fakt, iż we wszystkich szkołach rolniczych duża większość uczących się jest z odległych, często nawet bardzo dalekich stron, mało zaś, bardzo mało z najbliższej okolicy. Muszę jednak przyznać, iż bliższe współżycie szkoły z ludnością sąsiednich wsi sprawia kierownictwu dużo często ciężkiego nawet kłopotu. Kierownik, a tembardziej kierowniczka szkoły musi wykazać wtedy dużą znajomość życia wiejskiego, dużo taktu, rozwagi i nadzwyczajnej wprost czujności i zapobiegliwości. Nie każdego stać na to i nie każda ma do tego ochotę.

Oto najważniejsze, wedle mych przekonań, bolączki i niedostatki naszych szkół rolniczych. Może nie są one w zupełności uzasadnione, może się mylę i dlatego radbym bardzo, aby odezwały się w tej sprawie głosy innych, tak ze strony nauczycielstwa, jak również ze strony uczącej się młodzieży. Właściwie bardziej pożądane są głosy uczniów i uczennic: o nich tu przecież idzie, boć nie dla kogo innego, jeno dla nich społeczeństwo łoży grube pieniądze na te szkoły.

Kazimierz Dulęba.

ROZPOWSZECHNIAJCIE „SIEW"!

Do byłych wychowanic i wychowańców szkół rolniczych w Gołotczyźnie.

Zarząd Państwowych Szkół Rolniczych w Gołotczyźnie organizuje zjazd wszystkich byłych wychowańców Gołotczyzny i Bratnego w dniu 14-go czerwca b. r. Prosi więc wszystkie Gołotczyźnianki i Bratniaków o natychmiastowe nadsyłanie adresów własnych i znanych sobie kolegów i koleżanek, oraz zgłoszeń o zamiarze przybycia. Adres: Państwowe Szkoły Rolnicze w Gołotczyźnie, p. Ciechanów, skrz. p. № 20. Przystanek kolejowy — Gołotczyzna (na miejscu).

Z POLSKI I ŚWIATA

Praca i opieka społeczna w Polsce. Na posiedzeniach różnych komisyj sejmowych czy też przed pełną izbą sejmową przedstawiciele rządu wygłaszają nieraz programowe przemówienia, z których można sobie wytworzyć obraz co do podstawowych zagadnień życia państwowego w Polsce. Takiem przemówieniem naprzykład było wystąpienie ministra pracy i opieki społecznej na komisji sejmowej, a dotyczące niezmiernie ważnej w czasach nowożytnych polityki społecznej. Polska ma pod tym względem bodaj że najwięcej do zrobienia. Jak się wyraził minister, obok ochrony pracy i rozumnego prawodawstwa socjalnego „szereg innych działów opieki społecznej, w szczególności opieka nad dziećmi gruźlicznemi, opieka nad dorosłymi, inwalidami, weteranami, ofiarami klęsk żywiołowych, walka z alkoholizmem, włóczęgostwem i t. p. zagadnienia powinny niezawodnie stanowić przedmiot troski państwa."

Nędznie wygląda dobrobyt ludności w Polsce w porównaniu z bogactwem narodowem, które, aczkolwiek nie zostało jeszcze ściśle ustalone cyfrowo, jednak jest niewątpliwie bardzo znaczne. Naprzykład charakterystyczne pod tym względem jest spożycie niezmiernie ważnego produktu spożywczego, jakim jest cukier. W Polsce spożycie cukru wynosi na głowę ludności 6 kg. rocznie, w Czechosłowacji — 24 kg., we Francji — 23 kg., w Anglji 38½ kg. Spożycie ziarna wynosi w Polsce 162 kg. na głowę ludn., w Danji 287 kg., w Belgji 340 kg. Podobnie jest we wszystkich działach spożycia, co świadczy o niskim stopniu odżywiania się ludności polskiej, a wiadomo, że racjonalne odżywianie jest źródłem energji człowieka. Płace robotnicze też nie są na należytym poziomie. Przeciętnie wynoszą 4—6 zł. dziennie, a w niektórych gałęziach przemysłu wynoszą od 2 do 3 zł. dziennie. Trudno przy takich płacach myśleć o dobrobycie rodziny robotniczej. Ogólną nędzę powiększa jeszcze stosunek cen detalicznych do cen hurtowych. T. zw. „rozpięcie" jest

tu bardzo wielkie, to znaczy ogromna różnica w cenach towarów w hurcie, a u prywatnych sklepikarzy. Dowodzi to, że brak jest należytej organizacji w handlu, a ogół traci przytem miljony na niepotrzebnych pośredników i spekulantów.

Pod koniec swego przemówienia minister dowodził, że nadmiar rąk roboczych, jaki się w Polsce uwidacznia, nie będzie jednak mógł znaleźć zatrudnienia w kraju, i że konieczna będzie w dalszym ciągu emigracja, czyli wędrówka Polaków na obczyznę za kawałkiem chleba.

Narady nad handlem bronią. W Genewie, siedzibie Ligi Narodów, rozpoczęły się w dniu 4 b. m. ważne narady w sprawie handlu bronią. Broń bowiem jest najważniejszem narzędziem w wojnie. Jednak nie wszystkie państwa wytwarzają ją u siebie. Są państwa wytwarzające i nabywające broń. Jeżeli się myśli o uspokojeniu świata i usunięciu możliwości wojen, to trzeba zacząć od rzeczy najpierwszych, t. j. od zmniejszania środków śmiercionośnych. Z tego założenia wychodząc, państwa urządzały już takie narady nad ograniczeniem handlu bronią, jednakże nie dały one poważniejszych wyników, gdyż poszczególne państwa, mając różne interesy i warunki egzystencji, nie mogły dojść do zgody. Obecna jednak konferencja zgromadziła przedstawicieli 43 państw, między któremi są nawet państwa nienależące do Ligi Narodów, jak Ameryka, Niemcy, Turcja. To świadczy o powadze zagadnienia dla pacyfikacji świata. Naogół przeważa opinja, aby podjąć takie uchwały, któreby utrudniły dostarczanie broni dla wzniecenia wojny, a przedewszystkiem zabronić handlu gazami trującemi, które wyrządzają największe szkody.

Z ramienia Polski w naradach bierze udział b. minister spraw wojskowych, gen. Sosnkowski, który wygłosił dłuższe przemówienie, wyjaśniające stanowisko Polski. Wykazał, że Polska, posiadając 1500 kilometrów granicy z Rosją, która nie bierze udziału w obradach, jest specjalnie zainteresowana tem, aby zobowiązania międzynarodowe rozciągały się także i na jej sąsiada.

Podkreślenie pokojowości polityki polskiej sprawiło, że gen. Sosnkowski został wybrany przewodniczącym bardzo ważnej komisji wojskowej, a z tego tytułu wchodzi też do prezydjum konferencji.

Zajście w gimnazjum w Wilnie. W Wilnie podczas egzaminów maturalnych w gimn. im. Lelewela jeden z uczniów, nazwiskiem Ławrynowicz, pozbawiony prawa do dalszych egzaminów, wyciągnął rewolwer i zaczął strzelać do dyrektora. Osobę dyrektora zasłonił jednak uczeń, Al. Zagórski, który padł trupem. Kiedy Ławrynowiczowi wyrwano z ręki rewolwer, wyciągnął z kieszeni granat, który pękł mu w ręku. Rezultaty były straszne. Od wybuchu padł sam sprawca, jeden z uczniów, a jeden z nauczycieli raniony śmiertelnie, zmarł tego samego dnia. Dyrektor i ośmiu uczniów odnieśli lżejsze rany. Zaraz po wybuchu drugi z uczniów zaczął strzelać do komisji egzaminacyjnej, jednak nie trafił nikogo; wybiegł potem na kurytarz, skierował rewolwer w skroń i położył się trupem na miejscu. Całe to zajście jest ponurą tragedją i w każdym musi wywołać przykre wrażenie. Nad wyjaśnieniem przyczyn będzie wszczęte szczegółowe śledztwo.

ZAWIADOMIENIA.

Z komitetu narod. zawodów strzeleckich. W dniu 30 marca b. r. odbyło się po dłuższej przerwie pierwsze posiedzenie Głównego Komitetu Narodowych Zawodów Strzeleckich, na którem przewodniczył Prezes Komitetu, gen dyw. Władysław Sikorski, Minister Spraw Wojskowych, a pod koniec gen. dyw. Suszyński.

Przyjęto w ogólnych zarysach projekt regulaminu Gł. Kom. Nar. Zaw. Strzeleckich, traktując go jako obowiązujący do następnego posiedzenia. Po uczynieniu na tem posiedzeniu poprawek, Regulamin powyższy obowiązywać będzie Główny Komitet i Okręgowe Komitety Nar. Zw. Strzeleckich. W chwili obecnej do Głównego Komitetu Narodowych Zaw. Strzeleckich należy z centralnych związków i stowarzyszeń: Bractwo Strzelców Kurkowych (Warszawa), Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej (Warszawa), Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich (Warszawa), Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej (Poznań), Związek Harcerstwa Polskiego (Warszawa), Związek Powstańców Górnośląskich (Katowice), Związek Powstańców i Wojaków (Poznań), Związek Polskich Tow. Gimn. „Sokół“ (Warszawa), i Związek Strzelecki (Warszawa). Z okręgowych Komitetów istnieje narazie jeden we Lwowie, powstały w czasie przygotowań do I Narodowych Zawodów Strzeleckich.

W sprawie II-gich Narodowych Zawodów Strzeleckich Główny Komitet postanowił urządzić je w dn. 6, 7 i 8 września b. r. w Krakowie i nadać im powszechny charakter, poprzedzając je szeregiem lokalnych i okręgowych zawodów. W imieniu M. S. Wojsk. Pan Minister zadeklarował na cele Gł. Komitetu pięć tysięcy złotych. Referaty Komitetu mają przystąpić do rychłego opracowania programu II-gich Narodowych Zawodów Strzeleckich i wydania odpowiedniej broszury informacyjnej. W wolnych wnioskach uchwalono rozwinąć propagandę na rzecz strzelectwa i działalności Gł. Komitetu w organach prasowych stowarzyszeń, posiadających swych przedstawicieli w Głównym Komitecie, pozyskać dla celów Komitetu prasę codzienną i specjalną, a za organ oficjalny uznać tyg. sportowy „Stadjon.“ W sprawie podatku obrotowego od broni i przyborów myśliwskich, uchwalono zwrócić się do Pana Ministra Spraw Wojskowych, aby w interesie rozwoju strzelectwa wpłynął na wykreślenie broni, amunicji i przyborów myśliwskich z I kategorji towarów luksusowych.

PISMA.

„Zagroda Wzorowa".

Wobec zmienionych stosunków ekonomicznych pierwszą palącą potrzebą wsi polskiej jest podniesienie produkcji rolniczej przez intensywną gospodarkę.

Błędne koło, wytworzone przez ignorancję rolników, fatalną politykę agrarną, przesilenie finansowe, doprowadziło dziś wieś do nędzy.

Nie całą znów winę nieurodzaju składać należy na warunki atmosferyczne i szkodniki, — przecież doświadczenie wykazało, że na obszarach o silniejszej kulturze niezmiarka wyrządziła mniej szkód, niż tam, gdzie ugory wojenne do dziś dnia istnieją.

Najpilniejszym postulatem musi być podniesienie kultury rolnej, rozbicie murów przesądów i ciemnoty warstw rolniczych, zapoznanie ich ze zdobyczami wiedzy rolniczej, by tym sposobem przez poprawienie stosunków ekonomicznych podłożyć fundamenta pod nową kulturalną wieś polską.

Tą rzetelną troską przejęte, założyło grono ludzi dobrej woli dwutygodnik pod tytułem: „Zagroda wzorowa". Poucza ona swoich czytelników w krótkich, a popularnych artykulikach — bogato ilustrowanych — o zasadach uprawy roli i roślin, chowu zwierząt i wszystkich działach gospodarstwa drobnego tak męskiego jak i kobiecego.

Jest to pierwsze pismo rolnicze w Polsce, nie będące organem stronnictwa, ani też organizacji rolniczej.

Służyć ma wyłącznie popularyzacji oświaty rolniczej wśród włościan, bez względu na ich przynależność narodową czy partyjną.

Dlatego na jego czele stanęli nie ludzie partji, lecz poważni fachowcy, znani z działalności na polu rolnictwa.

„Zagroda Wzorowa" pragnie w swej pracy, podjętej jako służbę braciom rolnikom, napotkać na pomoc całego społeczeństwa.

Konkurencyjnie postawiona strona techniczna wydawnictwa, jego niezwykle niska cena, może tylko zachęcić prenumeratorów.

Numerów okazowych żądać należy w Administracji „Zagrody Wzorowej", Lwów, Kopernika 20.

„Polska Oświata Pozaszkolna." Świeżo opuścił prasę zeszyt 2-gi „Polskiej Oświaty Pozaszkolnej", dwumiesięcznika Związku Polsk. Naucz. Szk. Powsz., poświęcony sprawom oświaty dorosłych. Zeszyt ten przynosi dokończenie oryginalnego w swem ujęciu i bogatego w myśli artykułu prof. Romualda Minkiewicza p. t.: „Wiedza dogmat, czy wiedza stawanie się". Ciekawe i świeżością wrażeń tchnące „Raporty z podróży oświatowej do Anglji" Kaz. Korniłowicza pozwalają nam zapoznać się z kierunkami pracy oświatowej we współczesnej Anglji. Władysław Wolert w artykule: „Praca oświatowa w Rosji sowieckiej" wprowadza czytelnika w ideowe podstawy polityki oświatowej Sowietów i pokazuje wielki z jednej strony rozmach organizacyjny, z drugiej zaś nikłe rozmiary tej pracy, która w założeniu swem ma charakter wyłącznie propagandowy. Dział praktyki pracy kulturalno-oświatowej przynosi tym razem interesujący obrazek z życia świetlic kursów dla młodocianych E. Korniłowiczowej.

Pozatem zwykłe działy „Materjałów z ruchu oświatowego w kraju i zagranicą", „Przegląd literatury i pism" obejmują różnostronny materjał informacyjny i sprawozdawczy.

Prenumerata roczna wynosi 8 złotych — zeszyt pojedyńczy 1 zł. 50 gr. Zamawiać można w Administracji, Warszawa, Świętokrzyska 30 m. 11.

HUMOR.

Poprawił się.

Sędzia: — Czy świadek był kiedy karany?

— Owszem, panie sędzio: kąpałem się raz w miejscu zabronionem i skazano mię na karę pieniężną.

— A od owego czasu?

— Już się nigdy nie kąpałem, panie sędzio.

Nagrobki.

1) Pijakowi:

Łyknął,
Krzyknął,
Przewrócił oczyma
I już go niema.

2) Próżniakowi:

Przez całe życie chodziłem,
Całe życie jadłem, piłem.
Ileż trudów! Już się nie ruszę,
Bo odpocząć sobie muszę.

2) Dumnemu:

Sam sobą zajęty
Chodził za życia jak pęcherz nadęty,
A w tym pęcherzu zawsze coś szumiało.
Pękł wreszcie, wiatr uleciał — i nic nie zostało.

Zach.

Na nic się nie oglądać,
Nie świecić, ale pałać,
Nie błagać, ale żądać.

Redaktor: Bolesław Babski. Wydawnictwo: Centr. Związku Kółek Rolniczych.

Druk. Stołeczna, G. Kryzel, Warszawa, Wolska 16.